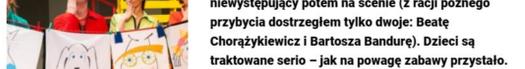


Jesteś tutaj: [Strona główna](#) | [Recenzje](#) | [Animacja, partycypacja i udana kreacja](#)

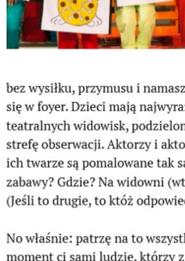
## Animacja, partycypacja i udana kreacja

Wierszyki-Wybrki, rez. Cezary Żołyński, Teatr im. Juliusza Osterwy w Gorzowie Wielkopolskim



Profesor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, doktor habilitowany: Teatrológ.

A A A



**Zaczyna się wszystko od całego szeregu animacji w foyer. Ważne i ciekawe jest to, że realizują je aktorzy niewystępujący potem na scenie (z racji późnego przybycia dostrzegłem tylko dwoje: Beate Chorzążykiewicz i Bartosza Bandurę). Dzieci są traktowane serio – jak na powagę zabawy przystało. Istotne jest również to, że animatorzy i animatorzy ubrani są w kombinezony identyczne, jak ich koleżanki i koledzy, którzy witają dzieci w teatralnej sali, a potem występują na scenie.**

Te powitalne przegwarki, uśmiechy i gesty, wykonywane bez wysiłku, przymusu i namaszczenia w przestrzeni widowni, są kontynuacją tego, co dzieło się w foyer. Dzieci mają najwyraźniej poczucie siebie także w miejscu prezentacji teatralnych widowisk, podzielonym już zdecydowanie na scenę – strefę akcji oraz widownię – strefę obserwacji. Aktorzy i aktorki malują im buzie, naczynając je kolorowymi paskami – ich twarze są pomalowane tak samo. Czyżby to była kolejna forma zaproszenia do wspólnej zabawy? Gdzie? Na widowni (wtedy będą musieli na nią znów zejść aktorzy) czy na scenie? (Jeśli to drugie, to ktoś odpowiedziałby musieli na nią dzieci?)

No właśnie: patrzę na to wszystko z coraz większym zainteresowaniem, bo przecież za moment ci sami ludzie, którzy z dziećmi gadają, żartują, malują im twarze i ściskają w powitalnym geście ich ręce, będą musieli odegrać na scenie przygotowaną na próbach partyturę spektaklu, w tym wypadku zainscenizowane przez jednego ze swych kolegów, znane wszem i wobec wiersze Brzechwy i Tuwima, opatrzone tutaj bardzo „niegrzecznym” tytułem: *Wierszyki-Wybrki*.

Na scenie piętrzą się już widoczne dla wszystkich, niezasłonięte kurtyną dekoracje – drabina i wielofunkcyjne płotki-palety w pastelowych kolorach, których zapewne aktorzy nie raz, nie dwa użyją jako rekwizytów. Niezobowiązujący wygląd i „poręczny” charakter tych dekoracji są bardzo dobrze dopasowane zarówno do tego, co dzieło się w foyer, jak i do tego, co teraz dzieje się na widowni.

Teatr jest rodzajem gry (zabawy) i wszyscy wykonawcy – ci z foyer i ci z teatralnej sali – starali się i starają dzieciom to... chciałem napisać „unaocznic”, lecz adekwatniejsze chyba byłoby: „ucieleśnić”. Tyle że na ogół w polskich teatrach aktorzy w pewnym momencie jednak wycyfują się w bezpieczną strefę sceny i w bezpieczną strukturę scenariusza, a wtedy wara dzieciom od ich przestrzeni oraz partytury – wszelka ingerencja, wszelka interakcja, do których dzieci były wcześniej zachęcane i prowokowane, spotyka się teraz już tylko z reakcją, którą można streścić w prostych, aż nazbyt żołnierskich słowach: „Won z mojej sceny – ja tu pracuję!”. Nawet w przypadkach mniej drastycznie kategorycznych, gdy artystki i artyści sceniczni chcą pozbyć się dzieci ze swojej strefy działania w jakiś w miarę cywilizowany sposób, i tak wychodzi z tego jakaś maternalistyczna-paternalistyczna gierka typu: „Słodkie jesteś, ciesz się, że mnie lubisz, ja cię też zasadniczo lubię, ale odejdz stąd, bo mi przeszkadzasz! Odejdz, bo za chwilę stracę wątek i nie będę mógł/mogła odegrać tej historyjki porządnie do końca, czego ode mnie wymaga mój etos pracy i reżyser”.

W związku z powyższym ciekaw byłem, jak sobie artystki i artyści Teatru im. Osterwy teraz poradzą z rozbudzoną, ba – wręcz rozbuchaną przez animację w foyer i przegwarki-malowanki na widowni, będącą u dzieci do wzięcia udziału w akcji przedstawienia. Bo że takowa chęć będzie czynnie zmanifestowana, nie miałem wątpliwości – wszystko zmierzało (nieuchronnie i beztrosko) w tym właśnie kierunku.

Ciekawość moją wzmagal prosty fakt, iż scena gorzowskiego teatru pozbawiona jest rampy i wspięcie się na nią wymaga po prostu pokonania kilku niezbyt stromych stopni dzielących widownię od scenicznego podwyższenia. Wiedziałem zatem, że dzieci będą miały do pokonania całkiem prostą drogę. A to ci dopiero!

Moja złośliwa uciecha brała się nie tylko z faktu, że w ciągu kilkudziesięciu ostatnich lat widziałem wiele mniej lub bardziej spektakularnych porażek ludzi sceny, nazbyt przywiązanych do swego namaszczonego, potwierdzonego dyplomem statusu „profesjonalisty-kapłana Sztuki”, którzy zmuszeni zostawali do niekapłańskich (czasem wręcz ciut niegrzecznych) zachowań w konfrontacji z dziećmi, które przecież mają pełne prawo do nieznanomości reguł umowy między widzami i aktorami w teatrze, a co za tym idzie – do ich niewiadomego, niewinnego przekraczania.

Poza tym wiedziałem, że wspólne z dziećmi wyjście z granic konwencji teatralnej w szerszą, różnorodniejszą konwencję gry i zabawy jest możliwe, i to bez szkody dla realizacji szczytnych zadań, jakie stawiamy scenicznemu kapłanowi Sztuki! Albowiem dawno już temu, w latach 80. XX wieku byłem wielokrotnie świadkiem rzeczowego współkierowania biegiem spektaklu teatralnego przez dziecięcych widzów-uczestników i wiem, że powodzenie takiego ryzykownego zabiegu, podjętego świadomie przez biegłych w tych grach artystów sceny, jest absolutnie możliwe. A satysfakcja, jaką taka wspólna gra przynosi, jest **ogromna!** Ilekroć to raz widziałem aktorkę i aktorów Teatru Wierzbak z Poznania – Grażynę Wydrowską, Artura Szycha i Bogdanę Wasielę przekrzykujących się z dziećmi, wyklócających się z nimi o szczegóły akcji, spoczynnych, zszajanych, a jednak nieomylnie zmierzających – wspólnie, na równych niemal prawach z młodymi widzami – do szczęśliwego finału akcji! Bo przecież dzieci swój rozum mają i one też wola, żeby akcja skończyła się tak jak powinna. No a jeśli są wśród nich młodzi rewolucjonści chcący czegoś innego – wtedy zaczyna się autentyczna walka – gra o przeżycie na scenie. Wtedy „nie ma, że boli”, trzeba rzucić na szalę swój zawodowy autorytet, sceniczne obycie, umiejętności, odwagę, determinację i przekrzyknąć, „przekłócić”, przekabacić na swoją stronę młodych buntowników (najlepiej dowcipnie i z taktem), traktując ich cały czas nie jak wrogów, lecz jak partnerów gry. A czasem warto nawet taką „bitwę o partyturę” przegrać i wejść wspólnie z dziećmi w nieznanie – Richard Schechner z satysfakcją kwitował taki obrót scenicznych wydarzeń stwierdzeniem: „Kończy się teatr, a zaczyna rytuał”.

Niezależnie od ostatecznego wyniku, takie wyjście ku młodym widzom wymaga ogromnego wydatku energii, a często wręcz uruchomienia ukrytych, nieświadomych sobie pokładów inwencji. No ale kto powiedział, że granie spektakli dla dzieci musi być łatwe? Oj, może być trudne, nawet bardzo trudne, jakże oddalone od wizji „odwalenia poranka dla maluchów” o „nieprzyswoiczone wczesnej rannej porze”, gdy prawdziwi artyści powinni dopiero się budzić. Ale uwaga! Kiedy się dzieci traktuje nie na „odwal się” i na „wara!”, lecz z powagą, bezwzględnie należną dzieciom i zabawie, granie dla nich zawsze jest przyjemne – zwłaszcza wtedy, gdy wspólnie, nawet po ciężkim boju, dochodzimy do końca, do oklasków, pokiukiwań, a potem do rozdawania autografów i na koniec do okrzyków: „Przyjdź jeszcze raz!” albo „Przyjdźcie do nas jeszcze, koniecznie!”.

Wróćmy do sali Teatru im. Osterwy, bo tam serdeczne powitania i „twarzowe malowanki” w końcu w naturalny sposób wygasły, zaś artyści i artystki opuścili bocznymi drzwiami widownię, a potem, by nie prowokować od razu dzieci do wkroczenia w ich świat, weszli na swoje miejsce – na scenę – tak jak trzeba, od strony kulis, i zaczęli grać. Nie odgrywać, a grać – to ważne. W pomysłowych miniinscenizacjach poszczególnych wierszy wspomagali się ustawianymi w różnych konfiguracjach wielobarwnymi płotkami-paletami, a także innymi, też pomysłowo zagospodarowanymi rekwizytami. Było to skromne, gustowne, a zarazem pełne inwencji, no i przede wszystkim kontynuujące zapoczątkowany w foyer nastrój zabawy. A dzieci? Widać było, że czują się na okazji, by się wgramolić na scenę i znów pobawić się z aktorami. I takich okazji nie zabrakło.

Zanim jednak to opiszę, skupię się muszę (z recenzenckiego obowiązku) na konstrukcji oraz rytmie przedstawienia. Otóż ramą konstrukcyjną było Tuwimowe *Ptasie radio*, które najpierw się rozświetliło na kilkanaście sposobów, oferując znane powszechnie wiersze dla dzieci w wersji nie tylko audio, lecz także „naoczno-nażywo”, a na koniec spektaklu zostało dość brutalnie uciśnione przez ptasią policję, którą uosabiał reżyser *Wierszyków-Wybrków*, Cezary Żołyński, wyposażony w blaszany megafon i wspomagany dźwiękowo przez dobiegający z głośników ciężki, chrapliwy oddech Dartha Vadera.

Poszczególne sceniczne wykonania dziecięcych „klasyków” były barwne i żywe, choć – siłą rzeczy – nierówne pod względem inscenizacyjnej pomysłowości. Poważniejszych kiksów jednak dzieciom oszczędzono, a najważniejsze było to, że ironiczny dystans wytworzony między wykonawcami (wraz ze świetnie ich wspomagającą scenografią) a tekstami był udaną kontynuacją serdecznego, niezobowiązującego nastroju z przedspektaklowych animacji oraz powitań. Konceptyjno-inscenizacyjna rama, złożona z 1) poważnego traktowania dzieci i zabawy; 2) ironicznego dystansu wobec scenicznej rzeczywistości (tekstów, postaci, działań, scenografii, rekwizytów); 3) otwarcia na spontaniczne inicjatywy młodych widzów, trzymała się cały czas mocno.

Strzałem w dziesiątkę była na pewno *Lokomotywa*. Nie, nie było tu śladu kolistych ruchów rękami wzdłuż ciała, nie było też „puffowatych odgłosów paszczą” i zasuwejacej coraz szybciej wzdłuż i wszerz sceny grupy ludzi z rękami na biodrach partnera/partnerki z przodu. Tytułową maszynę odegrał tu bowiem nader innowacyjnie, a zarazem kunsztownie Artur Nelkowski, który nadał jej niespodziewany, mechaniczno-taneczny charakter, wykonując liczne przyruchy o charakterze rapersko-chuligajskim (chyba wzięte wprost z Bronxu) za pomocą swych niepospolicie ruchliwych i zaskakująco giętkich kończyn górnych. Towarzyszyły mu dzielnie trzy partnerki, które na koniec, gdy maszyna się już rozpędziła, wykonywały „tłokopodobne”, wertykalne ruchy, trzymając jednak w rękach nie kółka, lecz kolorowe ramki w kształcie kwadratu, które wcześniej grały rolę wagonów. Tak oto pociągowy schemat został kilkakrotnie, radykalnie przełamany, co dzieci doceniły, nagradzając „lokomotywę” i „wagony” szczerym aplauzem.

Wyróżnić też warto sceniczne wersje: *Stonogi* z wierzącą dzieło cudowną płataniną kończyn dolnych i *Pali się!* ze świetnie zsynchronizowanym, „utanczonym” scenicznym rozgardaszem.

Kompozycyjnym zgrzytem, który jednak nie kładzie się jakimś ponurym cieniem na całość, jest fakt, że po punkcie kulminacyjnym, jakim jest niewątpliwie inscenizacja *Rzepki*, spektakl jeszcze trwał i trwał, aż czasowo wydając z siebie kolejną erupcję inwencji (buch!, buch!), lecz wytracając stopniowo energię.

Teraz opowiem w końcu o dziecięcej partycypacji. Główną dla niej okazję stworzyło wspomniane przed chwilą odegranie *Rzepki*, kiedy do tytułowego warzywa (znowu Artur Nelkowski – niewątpliwa gwiazda tego przedstawienia) oraz do wyraziście groteskowych Dziadka (Jan Mierzyński) i babci (Anna Laniewska) dołączyło kilkanaścioro dzieci grających pozostałe postaci – od Wnuczka, Mruczka i Kici począwszy, a skończywszy na całym stadzie Kawek. W końcu nawet nieugięta *Rzepka*, kierząca krzepko początek łączącej wszystkich liny, przęcając wciąż bicepsy i manifestując lekceważenie wobec usiłującej ją wyrwać gromady nieudaczników, zastąpił dorosły widz, który z pełnym poświęceniem, kiedy go wreszcie wyrwali, rąbnął jak długi na sceniczne deski.

Udział dzieci został tu dobrze wkomponowany w akcję, a rytm wypowiedzianego tekstu siłą rzeczy zwolniono i podporządkowano działaniom małych współuczestników sceny. Rytm był, owszem, rwany, gdzieś tam się nawet pogubił, ale za to zabawa była przednia, a radość dzieciaków – bezcenna! Dobra zabawa przesłoniła nieco Sztukę – dla dobra młodych widzów, którzy nie wiedzą przecież jeszcze, jak tę Sztukę godnie czcić, ale bawić się już potrafią – choćby w teatrze w teatr. Nikomu korona z głowy nie spadła, nic strasznego się nie stało – same plusy, zero minusów.

Kolejnym wyjściem ku widzom – małym i dorosłym – był wiersz Brzechwy *Katar*. Oczywiście, wszyscy – na scenie i na widowni – głośno, demonstracyjnie kichali, ale prócz tego aktorzy ganiłi jak koty z pecherzami po dziewięciu zapelnionych dziećmi i rodzicami rzędach widowni, rozrzucając na lewo i prawo chusteczki do nosa. Okazja do wspólnej zabawy była wymarzona i wykorzystano ją w stu procentach, bez pudła. Między innymi dzięki temu, że owo wtargnięcie na widownię było dobrze przygotowane – aktorzy i aktorki już tam przecież byli na początku wspólnej zabawy z dziećmi, teraz już doskonale oswojonymi z ich obecnością w tej teatralnej strefie. Na początku była sympatyczna zabawa i teraz też: wszyscy mamy katar, wszyscy demonstracyjnie kichamy, wszyscy mamy pomalowane buzie, wszyscy dobrze się bawimy w teatr.

Sytuacja najciekawsza, bo nieprzewidziana, zdarzyła się pod koniec, gdy na scenę wszedł młody aktor-recytator, chcący się pochwalić znajomością wykonywanego aktualnie wiersza. Tym razem grano *Pana Maluskiewicza i wieloryba*. Mały aktor czekał długo i pokornie (choć także ciut niecierpliwie) na schodach, aż wreszcie gdy wypowiadająca wiersz, siedząca na drabnie Karolina Milkowska-Prorok doszła niemal do końca, zebrał się w sobie i wszedł jej w słowo, dopowiadając: „Czy widział już wieloryba?”. Aktorka na chwilę zamilkła, pozwalając domorosłemu recytatorowi na wypowiedzenie tego wersu, po czym, z uznaniem kiwając głową, dokończyła wiersz, wykrzykując na koniec z triumfem niesmiertelne: „No, chyba...”!

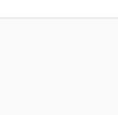
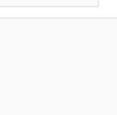
Brawa dla malca, brawa dla aktorki! Bo przecież o taką właśnie współpracę aktorów z dziećmi cały czas chodziło – od przedspektaklowych animacji aż do włączenia dzieci na scenę podczas ukłonów i zbierania – wspólnie z aktorami – zasłużonych braw.

Wszystko w tym spektaklu się ze sobą składało, wszystko było dobrze przemyślane, podporządkowane wspólnej zabawie. A jeśli trzeba było improwizować, to nie czyniono tego na ślepo, intuicyjnie – wszyscy wiedzieli, że improwizacja musi być dobrze przygotowana. I była. No i najważniejsze w tym wszystkim było z całą pewnością dziecko – biorące udział albo niebiorące, lecz z buzią pomalowaną zawczasu przez aktorów, naznaczone tym samym zachętą do współpracy. Traktowane serio, dopuszczane do nie za bardzo odświętnego tym razem terytorium Sztuki, która przecież i tak gdzieś od spodu podsztyta jest zabawą.

I tak trzymać!

15-02-2016

### GALERIA ZDJĘĆ

**WIERSZYKI-WYBRKI, REŻ. CEZARY ŻOŁYŃSKI, TEATR IM. JULIUSZA OSTERWY W GORZOWIE WIELKOPOLSKIM**ZOBACZ WIĘCEJ [→](#)

Teatr im. Juliusza Osterwy w Gorzowie Wielkopolskim

**Wierszyki-Wybrki**

na podstawie wierszy Jana Brzechwy i Juliana Tuwima adaptacja i reżyseria: Cezary Żołyński

scenografia: Iza Toroniewicz

muzyka: Marek Zalewski

obsada: Anna Laniewska, Karolina Milkowska-Prorok, Jan Mierzyński, Artur Nelkowski, Kamila Pietrzak-Polakiewicz, Joanna Rossa, Cezary Żołyński

premiera: 23.01.2016

TAGI: [Julian Tuwim](#), [Jan Brzechwa](#), [Cezary Żołyński](#), [Gorzów Wielkopolski](#), [Teatr im. Juliusza Osterwy w Gorzowie Wielkopolskim](#)[Udostępnij](#)

### SKOMENTUJ

Autor

lub zaloguj się

Treść komentarza

**Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem**, wpisz wynik działania: siedem minus cztery jako liczbę: 

### KOMENTARZE (0)